

STAN POLSKIEJ DEMOKRACJI.

Krzysztof Kozłowski: Mamy dzisiaj rozmawiać o kondycji polskiej demokracji. Patrząc na wyniki ostatnich wyborów, czytając doniesienia z pierwszych stron gazet o zachowaniach polityków, partii i parlamentu można dojść do wniosku, że z polską demokracją jest źle. Jest źle ze standardami państwa demokratycznego. Jest źle ze stosunkiem do państwa. Nie są to tylko moje wrażenia. Często przecież można usłyszeć: „A co to wszystko mnie obchodzi? Niech spadają”. A równocześnie konstrukcja polskiej demokracji jest dość stabilna. Nikt do tej pory nie podważył Konstytucji, przekazywanie władzy przebiega bez zgrzytów, działa Trybunał Konstytucyjny, parlament. Te ramy instytucjonalne państwa, niezależnie od treści, jakie je wypełniają i ludzi, są dorobkiem, który budzi optymizm i nadzieję. Jeżeli spróbujemy porównać pierwsze dziesięciolecie II i III Rzeczypospolitej, to nie sposób zapomnieć, iż wówczas zabito prezydenta, dokonano zamachu stanu, wszystkich czołowych opozycjonistów zamknięto w twierdzy brzeskiej. Pamiętam oczywiście, że żyjemy w innych czasach. Inne czasy, inna epoka, ale mimo wszystkich tych kłótni, swarów i kompromitacji, nie jest z nami chyba tak źle. A jak jest naprawdę?

Aleksander Smolar: Istnieje dość rozpowszechnione przekonanie o kryzysie polskiej demokracji. Z jednej strony nie ma ku temu powodu, ponieważ nikt nie kwestionuje instytucji i procesów demokratycznych, ale z drugiej strony można zrozumieć takie obawy po wyborach 23 września. Niemalże nie było tych, którzy mieliby poczucie sukcesu - nie myślę tu jedynie o dwóch partiach, które współrządziły, a dziś są nieobecne w Sejmie. Partia dominująca w obecnej koalicji rządzącej liczyła na lepszy wynik, umożliwiający samodzielne sprawowanie rządów. Inne partie też liczyły na większy sukces. Ale nie te frustracje są przecież źródłem poczucia pewnej kryzysowości. Bez porównania ważniejszy jest problem głębokiej asymetrii w naszym systemie politycznym. Z jednej strony mamy bardzo silny blok, a dzisiaj już jednolitą partię lewicową, której wpływy w każdych kolejnych wyborach rosną. Zajmuje ona, w sposób oczywisty, nie tylko lewą stronę - tam praktycznie nie ma konkurencji - ale również poważną część centrum. Z drugiej strony mamy rozległą przestrzeń centrum i prawicy, której nie ma żadnej partii stale od początku przemian obecnej w Sejmie, w aktywnej polityce. Oczywiście niewielu polityków czy obserwatorów powiedziałoby dzisiaj, że proces formowania się sceny politycznej jest zakończony. Pozostaje jednak pytanie o źródła, przyczyny tej niemożności utworzenia w miarę jednolitej formacji wypełniającej prawą stronę

sceny politycznej. Można zapewne wymienić wiele przyczyn tej sytuacji, poczynając od dramatycznych problemów ekonomicznych i społecznych, które rozsadzały formacje odpowiedzialne za kolejne fale reform, można winić brak kultury politycznej i organizacyjnej w środowiskach wchodzących do polityki dopiero po 1989 roku, nadmierne przywiązanie do polityki tożsamości, do pewnych symboli i ideologicznego języka, co utrudnia łączenie się i tworzenie większych formacji, będących w stanie skutecznie reprezentować interesy społeczne. Nie chodzi tu tylko o przeszłość: czy po tych wszystkich doświadczeniach, po podziałach i łączeniach, istnieje elementarny kapitał zaufania, na którym można budować większe i trwałe wspólnoty polityczne? Czy nie mamy w istocie do czynienia z paradoksalnym systemem dwupartyjnym pozbawionym jednej części? Z jednej strony istnieje bowiem formacja będąca jakby częścią systemu dwupartyjnego, z drugiej zaś mnogość formacji, których nawet dnia jutrzejszego dokładnie nie znamy. Oczywiście i lewica stoi wobec pewnych problemów choćby wobec sprzeczności między tym, co zazwyczaj partie lewicowe reprezentują, ich interesami, a wyzwaniem, przed którym stoją rządzące dzisiaj Polską partie, związanymi ze stanem finansów, koniecznością modernizacji gospodarki, liberalizacji rynku pracy.

Powracając jeszcze do problemów centrum i prawicy, warto zastanowić się na ile chodzi o problemy nasze polskie, na ile o szersze zjawisko. Przed dwoma laty przez Czechy przetoczyła się wielka, masowa kampania przeciwko całej klasie politycznej pod hasłem „Dziękujemy, odejdźcie”. Można też dostrzec pewne podobieństwa destrukcji naszej sceny politycznej z niedawnymi wyborami w Bułgarii, gdzie car Symeon II hołdujący zasadzie, że mowa jest srebrem a milczenie złotem, wygrał wybory mówiąc niewiele i tworząc partię dwa miesiące przed wyborami. Czy może problemy z centrum i prawicą mają jeszcze głębsze, bardziej uniwersalne źródła, które powodują, iż wiele wielkich formacji prawicowych w Europie przeżywa głęboki kryzys, poczynając od partii konserwatywnej w Wielkiej Brytanii, poprzez gaullistów francuskich, po niemiecką chrześcijańską demokrację? Zazwyczaj powiadano, że te wielkie formacje bazowały na czterech elementach: identyfikacji z chrześcijaństwem, silnej obecności idei europejskiej, liberalizmie ekonomicznym i antykomunizmie. Antykomunizm znikł, znikła również polityczna rola kościołów, lewica przejęła część haseł liberalnej ekonomii. Motywacyjna funkcja idei europejskiej osłabła. Czy kryzys, który dotknął wiele formacji zachodnich, nie tłumaczy, przynajmniej częściowo, problemów ze stworzeniem wielkiej formacji prawicowej czy centroprawicowej w Polsce?

Mirosława Grabowska: Demokrację współcześnie rozumie się na wiele sposobów, ale najczęściej mówi się o trzech jej modelach: proceduralnym, partycypacyjnym i substancjalnym. Demokracja rozumiana proceduralnie opiera się na węższej lub szerszej więzce procedur takich jak wybory, konkurencja o głosy, prawo do wybierania i bycia wybieranym. Wraz z rozwojem demokracji dodaje się kolejne procedury i wymagania: aby wybory odbywały się w warunkach przestrzegania wolności słowa, zgromadzeń, organizowania się w partie polityczne, aby dostępne były alternatywne źródła informacji. Takie rozumienie demokracji cieszy się w polskim społeczeństwie dużym poparciem. Wolne wybory i wolność słowa są powszechnie cenione - na poziomie około 90 procent. Demokracja to jednak nie tylko władza ludu - sprawowana poprzez rozmaite procedury - ale także władza sprawowana przez lud - demokracja rozumiana partycypacyjnie. Choć współcześnie nie jest możliwy bezpośredni udział we władzy na poziomie kraju, to poprzez struktury samorządowe i instytucję referendum obywatele mogą w większym stopniu wpływać na sprawy, które ich dotyczą, a nawet - w referendum - podejmować wiążące decyzje. Partycypacyjny model demokracji jest także przez społeczeństwo polskie aprobowany i doceniany, choć na nieco niższym poziomie - około dwóch trzecich. Demokracja to wreszcie władza sprawowana dla ludu. Przy tym trzecim, substancjalnym, rozumieniu oczekuje się, że demokracja dostarczy konkretnych „dóbr” - sprawi, że gospodarka będzie się rozwijała, że przestrzegane będą zasady sprawiedliwości społecznej, a politycy staną się uczciwi. Takie rozumienie demokracji jest również obecne w polskim społeczeństwie i to właśnie zwolennicy demokracji rozumianej substancjonalnie są najbardziej krytyczni wobec naszej politycznej rzeczywistości.

Nasuwa się tu jednak pytanie: skoro w Polsce demokracja rozumiana proceduralnie i partycypacyjnie jest tak bardzo ceniona, to dlaczego ludzie nie biorą udziału w wyborach parlamentarnych, samorządowych czy referendum? W moim przekonaniu nie ma jednej, prostej odpowiedzi na postawione pytania. Natomiast nie można sądzić, by zjawiska te miały swoje źródła w odrzucaniu czy niedocenianiu demokracji. Ich przyczyn trzeba szukać gdzie indziej. Jedną z przyczyn stanowią bariery poznawcze. Przede wszystkim skala i złożoność życia publicznego wzrosła niepominięnie. Dlatego coraz trudniej jest debatować nad ważkimi problemami, ogarnąć rosnącą ilość informacji, niełatwo z nich korzystać. Te bariery poznawcze są w polskim społeczeństwie bardzo istotne. Jesteśmy - statystycznie rzecz biorąc - źle wykształceni i śledzenie polityki okazuje się ponad nasze siły i chęci. Zaledwie jedna trzecia badanych jest zainteresowana życiem publicznym, zaś 20-25% - w zależności od sposobu "mierzenia" - w ogóle się nim nie interesuje: nie czyta prasy, nie ogląda programów informacyjnych w telewizji, nie rozmawia z bliskimi o polityce. Można podejrzewać, że owo

niezainteresowanie oznacza wręcz nierozumienie kraju, w którym się żyje. Jednak między tą jedną czwartą niezainteresowanych – tj. tych, którzy udziału w wyborach nie biorą - a jedną trzecią zainteresowanych życiem publicznym - tj. tych, którzy z reguły biorą udział w wyborach - znajduje się niemal połowa badanych. Jest to jakieś pole do zagospodarowania, można próbować zawalczyć o mocniejsze związanie tych ludzi z demokracją, tylko chętnych jakoś nie widać. Jakie są z kolei przyczyny owego braku zainteresowania? Pewne bariery muszą tkwić w systemie edukacyjnym, bowiem dobrze wykształceni młodzi ludzie do życia publicznego czy politycznego się nie garną. Wręcz przeciwnie: ich udział w wyborach pozostaje na niższym poziomie niż pokolenia czterdziesto- czy pięćdziesięciolatków. Ale od polityki odstręcza przede wszystkim dyskurs publiczny, a w nim najważniejsze jest postrzeganie i ocenianie bieżącej polityki i instytucji politycznych. Odrzuca je - w zależności od instytucji - od pięćdziesięciu do ponad dziewięćdziesięciu procent badanych. I nie jest to zjawisko nowe - było ono widoczne już w pierwszej połowie lat 90. Ze względu na jego zakres i siłę można mówić o ogólnym „odrzuceniu polityki”, o reakcji zupełnej deprecjacji polityków, bieżącej polityki i instytucji demokratycznych, w tym partii politycznych. Większość ludzi nie potrafi powiedzieć dobrego słowa o politykach i instytucjach demokratycznych. Dominuje zbrzydzenie, a to powoduje zniechęcenie, wycofanie się, nieuczestniczenie.

Odpowiedzialność za tę sytuację ponoszą nie obywatele, lecz elity polityczne. Postsolidarnościowi politycy nie cenili partii jako instrumentu demokratycznego działania, ani przed rokiem 1989 - co można jeszcze zrozumieć - ani też później. Jeśli partie polityczne powstały, to bardziej mocą logiki demokracji, niż z woli elit. Partie powstawały w atmosferze konfliktów i skandali, niemal wbrew postsolidarnościowym politykom. Jednocześnie elity polityczne jako całość nie zapewniły im stabilnych warunków instytucjonalnych. W ciągu ostatnich dwunastu lat mieliśmy cztery ordynacje wyborcze: w 1989, 1991, 1993 i 2001 roku. Oznacza to, że praktycznie bez przerwy coś zmieniano, poprawiano lub psuto. W dodatku tych ordynacji szybciej chyba uczył się elektorat, niż elity polityczne, czego dobrym przykładem są ostatnie wybory.

Elity centroprawicowe zasługują, moim zdaniem, na największy krytycyzm. Dzielą się one lub łączą, zmieniają nazwy - trwa nieustanne przegrupowanie. Pouczający jest przypadek ZChN, które wybrałam nie z tego powodu, że stanowi partię szczególnie nieudaną, ale wprost przeciwnie. Powstało już w 1989 roku, a w Sejmie I kadencji z 49-50 mandatami stanowiło trzecią siłę polityczną, uczestniczyło w trzech rządach oraz ma, jak się wydaje, naturalny potencjalny elektorat. W pierwszych wyborach parlamentarnych 1991 roku ZChN wystartowało pod etykietą Wyborcza Akcja Katolicka i weszło do Sejmu I kadencji. W 1993

roku zorganizowało koalicję pod nazwą Katolicki Komitet Wyborczy „Ojczyzna” i ... znalazło się poza Sejmem. W roku 1997 przystąpiło do Akcji Wyborczej „Solidarność”, która wybory wygrała. W samej Akcji ZChN wszystkimi swoimi siłami występowało przeciwko przekształceniu AWS w jednolitą partię. W tym samym czasie SdRP sprawnie przekształcił koalicję SLD w partię. Nie trzeba przypominać losów AWS, a ściślej AWSP, w wyborach 2001 roku. Niektórzy politycy ZChN przeszli do Ligi Polskich Rodzin lub do Prawa i Sprawiedliwości; inni głoszą powrót do korzeni, do nazwy, której nikt już nie pamięta, do nie znanego szerzej przywódcy, do rozpadających się struktur. Losy tej partii mogą świadczyć o lekceważeniu etykiety wyborczej, upieranie się przy własnej odrębności (gdy na przekształceniu AWS w partię można było zyskać), ale i porzucanie grupowej tożsamości dla celów indywidualnych, mogą nawet świadczyć o braku szacunku dla wyborców. A warto przypomnieć, że w ostatnich wyborach - mimo zamętu na scenie politycznej - na prawicę głosowało trzy miliony ludzi! Wzorem działania większości wyborców centroprawicy jest wierność wobec tej opcji ideowo-politycznej. Natomiast wzorem działania elit centroprawicowych jest niestałość i dzielenie się - przy każdej okazji: gdy się wygrywa - bo już można - i gdy się przegrywa. Jeśli zanalizuje się biogramy polityków centroprawicowych zasiadających obecnie w Sejmie, to okaże się, że sporo z nich jest już w trzeciej, czwartej, a nawet szóstej partii czy ugrupowaniu. Nie prognozuje to ani stabilności PO, PiS czy Ligi Polskich Rodzin, ani możliwości powstania większego ugrupowania politycznego. Tymczasem SLD wykazywał i wykazuje dużą efektywność w pozyskiwaniu nowego elektoratu: zaczynał od 1,3 mln w 1991 roku, poprzez 2,8 mln w 1993, nieco ponad 3,5 mln w 1997, aż po 5,3 miliona w 2001 roku (w koalicji z UP). To SLD stanowi - mówił o tym Aleksander Smolar - źródło stabilności polskiej sceny politycznej. Polska demokracja jest dzisiaj „lewoskrętna” i nic nie wskazuje na to, by ukształtował się jakiś "Sojusz Prawicy Demokratycznej".

Na koniec uwaga do pytania Aleksandra Smolara o związki między problemami centroprawicy w Polsce i na świecie. Przede wszystkim nie należy przesadzać z kryzysem centroprawicy na świecie. Być może na Zachodzie prawica doświadcza bessy politycznej, ale zachowuje ciągłość, przede wszystkim intelektualną, oraz stałą obecność w instytucjach życia publicznego. Stanowi to dobry punkt startu do przyszłych działań politycznych. Natomiast polska prawica - z powodów historycznych - jest lokalna. Była nieobecna przez całe dekady, nie tylko w sensie politycznym, ale także intelektualnym, instytucjonalnym, społecznym. Jest to z pewnością jedna z głównych przyczyn jej słabości i nie należy o tym zapominać.

Antoni Sulek: Jak dobrze wiemy, demokracja musi być zdolna do rozwiązania trzech ważnych problemów: legitymacji, reprezentacji oraz decyzji i egzekucji. Demokracja jako najlepsza forma rządów została w Polsce zaakceptowana. Za taką uznaje ją ponad dwie trzecie dorosłej populacji, odsetek ten systematycznie rośnie i, co ważne, jest w niewielkim stopniu zależny od bieżącej polityki i sytuacji gospodarczej. Oznacza to, że akceptujemy demokrację bez względu na postępującą transformację gospodarczą. Brak też w Polsce ruchów politycznych, które spajałaby wiara w rządy silnej ręki, brak też poważnych kandydatów do władzy taką ręką sprawowanej. Ale jest pewien kłopot z legitymacją demokracji w Polsce. Wiele osób uważa, że polska demokracja ma słaby fundament moralny, ponieważ nie rozliczyła się z komunizmem. Trzecia Rzeczpospolita nie jest zdolna osądzić ani winnych grudnia '70 roku, ani „ścieżek zdrowia”, ani zbrodni popełnionych w czasie stanu wojennego. Generalnie jednak legitymacja demokracji w Polsce jest wysoka, a to rodzi też wysokie oczekiwania co do zasadniczych spraw, które ma demokracja rozwiązać: problemu reprezentacji oraz decydowania w polityce. Tu istnieje pewna dysharmonia. Demokracja jest mechanizmem przekształcającym indywidualne preferencje w dobro wspólne. Ujawnianie tych preferencji odbywa się w Polsce bez większych zakłóceń, sytuacja jest przejrzysta, a jeśli pojawiają się jej zamącenia, to w skutek percepcji polityków. Sondaże, blokady, manifestacje, strajki, naciski grup interesów, wybory nie pozwalają politykom na wątpliwości co do oczekiwań empirycznych Polaków reprezentujących różne segmenty społeczeństwa. Użyłem terminu „empiryczni”, ponieważ politycy różnią się co do oceny tego, co dla Polski jest dobre. Natomiast nie ma wątpliwości, co do oczekiwań Polaków. Oczywiście, czym innym jest ujawnianie interesu, a czym innym ich reprezentowanie, które wymaga nosicieli. Czy ostatnie wybory poprawiły reprezentowanie tych oczekiwań? Odsunęły od władzy ustawodawczej dwa ugrupowania umiarkowane - Unię Wolności i „Solidarność”, wywodzące się z jednej ważnej tradycji. To nie poprawia demokracji, ani też jej nie stabilizuje. Wręcz przeciwnie, pozbawia reprezentacji ważny, choć nie tak liczny segment społeczeństwa. Sprawia, że te partie będą uprawiać politykę albo w gazetach, albo w formach charakterystycznych dla niektórych związków zawodowych czyli na przykład na ulicy. Z drugiej strony te wybory wzmocniły reprezentacje wyborców potrzebujących partii radykalnych. Boleję nad tym, bo już Samoobrona - zdobywając władzę dzięki mechanizmowi demokratycznemu - zapowiada, że reguł demokratycznych, w razie potrzeby, nie będzie akceptować. Jednak sam fakt, że się znalazła w Sejmie, nie jest klęską demokracji! Były już w Polsce ugrupowania, które po wejściu do Sejmu lub do rządu traciły na swym radykalizmie, oswajały się z demokracją wraz z wejściem w jej tryby.

Zmiany sceny politycznej w Polsce nie idą w jednym kierunku. Wybory w roku 1993 sprawiły, że znaczna część osób o poglądach centroprawicowych nie miała swojej reprezentacji w Sejmie. Wyniki następnych wyborów były bardziej reprezentatywne, jednak w tym roku znów nastąpił regres.

Problemem jest zatem brak reprezentantów niektórych grup interesów, ale problemem jest także trudność z wyrażaniem tych interesów w języku politycznym, bo wymaga to zdolności do sformułowania jakiegoś realistycznego projektu, w ramach którego mogą one zostać rozwiązane. Uderza tu bezpośrednio w formułowaniu oczekiwań. Wyborcy umieją powiedzieć jak powinno wyglądać to „lepiej”, gorzej jest ze sformulowaniem rozwiązań zapewniających osiągnięcie takiego stanu. W tej artykulacji uderzający jest również brak uwzględnienia interesów innych grup społecznych. W tej sytuacji żądania wszystkich wydają się słuszne, ponieważ są traktowane w izolacji od interesów innych grup. Brak nam rozbudowanego mechanizmu agregowania i uzgadniania interesów. No i największą bolączką jest podejmowanie decyzji. Jeżeli jednak szukać odpowiedzi na pytanie, co jest dzisiaj największym problemem naszej polityki, to należy powiedzieć: politycy.

W funkcjonującym u nas mechanizmie demokratycznym można wskazać na kilka dylematów. Pierwszym jest konieczność godzenia interesów partykularnych różnych grup. I tutaj, obok tego jawnego mechanizmu przedstawicielskiego, istnieje drugi: wymuszanie, w którym argumentem jest siła segmentu społecznego reprezentowanego przez daną partię. Opisał go doskonale Edmund Mokrzycki, wskazując na fakt, że w dłuższym okresie czasu konieczność realizacji jednych partykularnych dążeń likwiduje możliwość realizacji obietnic złożonych niedawno innym grupom. Ponieważ priorytety muszą się zmieniać, zdobycze w takim systemie są łatwe do anulowania. Dobrym przykładem jest ustawodawstwo prosoctalne ostatniego roku poprzedniego sejmiku. Wszystkie przyjęte rozwiązania rozpatrywane oddzielnie były słuszne, razem wzięte przyczyniły się do kryzysu finansów publicznych.

Kolejnym problemem jest niewypracowanie zasad udziału opozycji w sprawowaniu władzy. Decyzje są podejmowane tak, jakby zawsze miało się rządzić, natomiast nowa władza czuje się uprawniona do anulowania decyzji swoich poprzedników, czego przykładem są ostatnie działania wokół reformy edukacji. To prowadzi do niegodzenia rozwiązań problemów bieżących z odpowiedziami na wyzwania przyszłości. W latach 1993 –97, za rządów koalicji SLD i PSL, polityka była skierowana na zaspokajanie bieżących potrzeb społeczeństwa, z pewną stratą dla przyszłości. Zaś polityka następnej koalicji była zorientowana na rozwiązywanie problemów przyszłości, ze stratą dla problemów bieżących. Obecna władza musi rozwiązać obydwa te problemy równocześnie. Problemem jest zatem pogodzenie troski o

swoje miejsce w historii z troską o wynik wyborów, zaś demokracja w Polsce nie wypracowała umiejętności godzenia dwóch mandatów: wyborczego i plebiscytnego. Nie myślę tu o plebiscytach, lecz o nieustannych sondażach. W jaki sposób ma funkcjonować rząd, który wie, że posiada mandat wyborczy, ale stracił bieżące poparcie. Powołując się wyłącznie na mandat wyborczy naraża się na zarzut, że jest niewrażliwy na problemy społeczne. Z kolei rząd, dla którego ważny jest mandat bieżący, „sondażowy”, może być oskarżany o populizm. Najważniejsze zatem problemy: podejmowanie decyzji, czy godzenie sprzecznych interesów, sposób włączania opozycji w sprawowanie władzy, oraz godzenie interesów bieżących z przyszłymi nie są w polskiej demokracji należycie rozwiązywane. Co gorsza, nie ma wypracowanych reguł ich rozwiązywania. A poza tym mechanizm demokratyczny w Polsce działa, regularnie odbywają się wybory, partie zdobywają władzę i ją tracą.

Aleksander Hall: Skąd takie rozmiary przewagi lewicy nad prawicą, lewicy wywodzącej się z partii funkcjonującej w PRL i określającej charakter tego państwa? W 1989-90 roku obóz postkomunistyczny podjął sztandar lewicy, którego nikt nie chciał podjąć. Również ludzie opozycji demokratycznej o niewątpliwie lewicowych poglądach nie mieli odwagi go podnieść. Zrobili to postkomuniści - określając się jako socjaldemokraci - odwołując się do wrażliwości i poglądów lewicowych mocno zakorzenionych w polskim społeczeństwie po kilkudziesięciu latach realnego socjalizmu. Uzyskali także akceptację na arenie międzynarodowej. Wreszcie ta formacja startowała z pozycji siły politycznej, która co prawda sprawowała w przeszłości dyktatorską władzę, ale odegrała również rolę w okresie transformacji. Przywódcy SLD mogli z dumą mówić: „my wzięliśmy udział w zmianie tego systemu”, co było dostrzegane i akceptowane przez istotną część naszego społeczeństwa. Startowali przejmując układy, powiązania organizacyjne i znaczną część materialnych aktywów partii z okresu PRL-u. Sądzę też, że na ich korzyść działało obarczenie obozu solidarnościowego odpowiedzialnością za społeczne koszty przemian pierwszych lat po 1989 roku.

Szanse dla lewicy stworzyło skłócenie obozu posierpniowego w roku 1990, kiedy to doszło do dramatycznego starcia pomiędzy obozem Lecha Wałęsy a obozem Tadeusza Mazowieckiego. Wtedy w naszym przekonaniu istniał tylko wybór pomiędzy obozami politycznymi wywodzącymi się z nowej, solidarnościowej Polski. Postkomuniści mogli liczyć - naszym zdaniem - na poparcie może 10% społeczeństwa i nie byli zdolni w ciągu najbliższych lat wygrać w demokratycznych wyborach. Wydawali się formacją schyłkową.

Należy oddać sprawiedliwość umiejętnościom przywódców obozu postkomunistycznego, którzy umieli zręcznie i z pewnym wyczuciem sytuacji, unikając błędów, wyprowadzić swoją

formację na dobre pozycje w nowej Polsce. Ale czy słuszna jest teza, że jest to formacja skazana na długotrwałe pozostawanie przy władzy w systemie politycznym, w którym prawica jest podzielona, niezdolna do trwałego zjednoczenia? Wydaje się, że tak być nie musi. Należy pamiętać, że istotna część polskich wyborców, zwłaszcza słabiej wyrobionych, ma tendencję do głosowania w wyborach nie za czymś, ale przeciwko komuś, przeważnie przeciwko posiadającym władzę. Jestem przekonany, że ta skłonność w ostatnich wyborach zadziałała na korzyść obozu lewicy, ale nie sądzę, by był to stały wybór. Można równie dobrze założyć, iż w następnych wyborach ten głos protestu skieruje się przeciwko tej właśnie formacji politycznej. Zgadzam się z Mirosławą Grabowską, że aktualny stan prawicy w świecie ma niewielki wpływ na kondycję polskiej prawicy. Prawdą jest, iż brak dzisiaj na Zachodzie charyzmatycznych przywódców, ale istnienie silnych przywódców prawicy w zachodniej Europie i w USA nie miało wielkiego wpływu na kształtowanie się obyczajów oraz sposobów działania politycznego w Polsce. Zupełnie co innego stanowi jej problem zasadniczy. Polska prawica jest definiowana przez antykomunizm. Są to przeciwnicy starego systemu. Ale reprezentują oni całą gamę postaw: od zwolenników Polski odciętej od Europy po euroentuzjastów, od zwolenników mocnego zaangażowania państwa w procesy gospodarcze po zwolenników liberalizmu ekonomicznego, od zwolenników silnej, czy dominującej roli związków zawodowych w państwie po zdecydowanych przeciwników takich rozwiązań. Jest to w dużym stopniu koalicja oparta na stosunku do starego systemu, niechęci do jego politycznych spadkobierców, ale z trudem określająca się poprzez spójne programy. Być może Akcja Wyborcza Solidarność miała szansę aby tę słabość naprawić, ale wymagało to silnego, odpowiedzialnego przywództwa, potrafiącego skrajne tendencje ustawić na marginesie lub zmusić je do odejścia. Jednak przywództwo okazało się słabe i skłonne ulegać presji grup skrajnych, np. zwolenników powszechnego uwłaszczenia. W rezultacie nie wytworzył się ośrodek mogący poprzez odpowiedzialną politykę zbudować umiarkowaną prawicę. Jestem jednak przekonany, że istnieje w Polsce duży elektorat gotowy głosować na taką formację. Oprócz problemu natury programowej istniała konkretna sytuacja roku 1997. W AWS-ie stworzono niebezpieczny system: faktyczny ośrodek władzy znajdował się poza rządem. To było zaprzeczenie reguły, która obowiązuje w sprawnych demokracjach zachodnioeuropejskich, gdzie lider rządu jest liderem formacji, a zadaniem parlamentarzystów jest wspieranie rządu i koncepcji rządzenia, która jest wypracowywana przez radę ministrów. I wreszcie przyczyną słabości Akcji Wyborczej Solidarność był rozziew między słowami, deklaracjami, a czynami. W roku 1993 nastąpiło olbrzymie upartyjnienie państwa. AWS idąc do wyborów krytykowała ten system rządzenia, ale później bardzo szybko go zaakceptowała,

często wystawiając na istotne stanowiska ludzi niekompetentnych. Uważam, że AWS zapłaciła za cztery wielkie reformy, może niezbyt zręcznie przeprowadzone, ale generalnie potrzebne i pozostawiła kraj nowocześniejszym i lepiej urządzonym. AWS zapłaciła za styl sprawowania władzy, za rozbieżność wniosków deklaracji i praktyki działania. Dzisiaj lewica może w pewnej mierze liczyć u wyborców na taryfę ulgową. Wyrobiła sobie opinię formacji pragmatycznej, nie za bardzo przywiązanej do sfery ideowej. Natomiast AWS z najświętszymi wartościami wypisanymi na sztandarze i rozbieżnymi z tym czynami została bardzo surowo oceniona przez wyborców.

Na pewno prawicę można oskarżać o nadmierny partykularyzm i nieumiejętność łączenia sił. Nie sądzę jednak, że zasadniczy problem stanowiła częsta zmiana sztyldów partyjnych. Trudno mówić o instytucjonalnym zakorzenieniu prawicy w Polsce tak, jak ma to miejsce w Niemczech czy Wielkiej Brytanii, ale jeżeli popatrzymy na francuską prawicę - liberalną czy orientacji chrześcijańsko-demokratycznej, to zmiany sztyldów są tam rzeczą nagminną. I myślę, że nie przeszkadzają one wyborcy w rozpoznaniu orientacji politycznej. Pod tym względem polska prawica nie zasługuje na tak surową ocenę, bo widzę tu stałość poglądów politycznych. Zmieniały się sztyldy, a nie wyobrażenia o Polsce i systemie wartości. Są one czytelne dla społeczeństwa.

Kolejna sprawa, to obecność w parlamencie Samoobrony i Ligi Rodzin Polskich. Nie cieszę się z sukcesu obu tych ugrupowań, ale należy przyznać, że są one odpowiedzią na potrzeby istotnej części polskich wyborców. A jeżeli są takie potrzeby, to lepiej, gdy te siły są reprezentowane w parlamencie, niż pozostają poza nim. Pozostaje jednak wiele pytań, np. o ewolucję Samoobrony. Czy mamy do czynienia z ugrupowaniem o charakterze tymczasowym, czy też jest to załączek formacji mogącej potencjalnie zagrozić samym podstawom demokracji? Chyba za wcześnie na odpowiedź, ale pewne niebezpieczeństwo istnieje. Należy też oddzielić aprobatę dla formalnej obecności tego ugrupowania w parlamencie od kokietowania tej formacji przez obóz rządzący i media. Na wprowadzanie na salony politycy” Samoobrony,” łącznie z jej liderem, nie zasłużyli i nie zapracowali.

W wyborach dobry wynik uzyskała skrajna, antyeuropejska prawica z giertychowską interpretacją myśli narodowej - anachroniczną i niebezpieczną. A co stanie się z prawicą umiarkowaną? Dzisiaj największe szanse na zabudowanie tego miejsca ma PiS i Platforma Obywatelska. Nie wiem jednak, czy one podołają temu zadaniu. Platforma Obywatelska powstawała – przynajmniej miałem taką nadzieję - jako formacja mająca szansę na zrealizowanie syntezy konserwatywno-liberalno-ludowej. Teraz staje się przede wszystkim formacją liberalnego programu gospodarczego, bardzo Polsce potrzebnego, bo dzisiaj mamy

do czynienia z reakcją populistyczną i socjalistyczną. Ale sam program liberalny to w polskich warunkach za mało, by dać wystarczającą podstawę dla formacji umiarkowanej prawicy. Potrzeba czegoś więcej. Znacznie więcej.

Lech Kaczyński: Najpierw chciałbym zacząć od kilku uwag dotyczących przeszłości. Padło tutaj wiele sądów dotyczących mojego obozu politycznego, szeroko rozumianego. Jest prawdą, że na przełomie epok - końca lat 80-tych i początku lat 90-tych - w obozie „Solidarności” żywa była ideologia antypartyjna. Zamiast partii politycznych właściwych dla klasycznie rozumianej demokracji powstać miał jeden „ruch społeczny”. Według tej koncepcji partie miały być formą niedostosowaną do sytuacji, w której wówczas znajdowała się Polska. Co więcej miały być przestarzałą formą również dla krajów zachodnich. Należy też pamiętać, że w bardzo wąskich kręgach w „Solidarności” toczyła się dyskusja co do jej następcy politycznego: wielu, tylko jednego, czy może dwóch? Ja sam zaliczałem się do zwolenników powstania ugrupowania centrowego i ugrupowania solidarnościowej lewicy. Nasze wyobrażenia okazały się wysoce naiwne, chociaż w 1990 roku wydawało się, że ta koncepcja zostanie zrealizowana. Oto powstało Porozumienie Centrum i, chwilę później, ROAD. Ale szybko pojawili się kolejni następcy polityczni „Solidarności”. I tak jest do dzisiaj, bowiem dzisiejsze ugrupowania w dużym stopniu składają się z ludzi pochodzących z przedsierniowej opozycji, nie mówiąc już o „Solidarności”, czy późniejszym podziemiu stanu wojennego.

Kolejna sprawa - powtórzę za Aleksandrem Hallem – to problem definicji polskiej prawicy. Jeżeli nie zdefiniować jej poprzez opozycję do dawnego systemu i ugrupowań, które się z tego systemu wywodzą, to partie prawicowe dzielą zasadnicze różnice ideologiczne i polityczne. Istnieje zasadnicza różnica między liberalnym programem rozwiązań polskich problemów gospodarczych, a planem przewidującym większą interwencję państwa. Jest zasadnicza różnica między proeuropejskością a, odgrywającą moim zdaniem marginalną rolę, antyeuropejskością. Inaczej mówiąc, problemem polskiej prawicy nie jest tylko skłócenie elit, nadmierny indywidualizm czy też osobiste ambicje, ale zasadnicze różnice ideowe i programowe. I to są problemy, które należy rozwiązać.

Polską prawicę może zjednoczyć przede wszystkim przeciwdziałanie negatywnym tendencjom w polskiej demokracji związanym z istnieniem partii dominującej. Aleksander Smolar użył tutaj określenia: mamy jedną partię dwupartyjnego systemu. Muszę powiedzieć, że jest to określenie niezmiernie delikatne, bo nie jest to jedna partia dwupartyjnego systemu, tylko partia zdecydowanie dominująca na polskiej scenie politycznej. Przy czym porównania między

rokiem 1993 a 2001 są zważne. Sojusz Lewicy Demokratycznej w roku 1993 podlegał licznym ograniczeniom: niezwykle krótkiej perspektywie historycznej - minęło zaledwie cztery lata od obalenia systemu komunistycznego; miał bardzo silnego partnera, zachowującego swoją odrębność, a często wręcz konkurującego; istniał także drugi silny ośrodek kierowniczy w państwie - prezydent.

Dzisiaj mamy odmienną sytuację. Minęło dwanaście lat, pół pokolenia, co jest okresem, przynajmniej w życiu indywidualnym, bardzo znaczącym. SLD zdobył pozycję nieporównanie silniejszą wśród wyborców - przed ośmiu laty 20,5%, a dzisiaj 41%. Różny jest także charakter kierownictwa Sojuszu. Niezależnie od naturalnego procesu odmłodzenia, w obecnym kierownictwie SLD znacznie większą rolę odgrywają dawni aktywiści PZPR. Wszystkie te elementy niosą ze sobą pewne zagrożenia dla stanu polskiej demokracji. W ostatnim okresie mieliśmy wiele złych przykładów, choćby kłopoty z powołaniem w pełnym składzie Komisji Służb Specjalnych, czy nominacja prokuratora Kaucza.

Może zabrzmi to paradoksalnie, ale obecna sytuacja jest dla prawicy pewną szansą. Skłania do kompromisów, które w warunkach określanych jako „normalne” byłyby trudne do osiągnięcia. Dzisiaj - sytuacja może się zmienić w ciągu najbliższych miesięcy - jest większa szansa na porozumienie. Jednak na pytanie, czy możliwe będzie wystąpienie w wyborach w 2005 roku jednego dużego ugrupowania centroprawicowego, nikt dzisiaj nie jest w stanie odpowiedzieć.

Niepokoje też taktyka SLD zbliżenia z Samoobroną, partią z punktu widzenia polskiej demokracji niebezpieczną. Nie będę próbował zrekonstruować planu politycznego Sojuszu, bo łatwo mogę zostać oskarżony o snucie domysłów. Powiem tylko o kilku swoich obserwacjach. Jeżeli utrzyma się obecna sytuacja z dominującą rolą SLD, to niezbędni będą ewentualni partnerzy do współrządzenia. Przeprowadzone przez SLD błyskawicznie zmiany w aparacie państwowym służą całkowitemu podporządkowaniu, także w sferze sektora prywatnej gospodarki. Jak dobrze wiadomo, prawo obowiązujące w Polsce znacznie ogranicza możliwości bezpośredniego interwencjonizmu państwa, ale są przecież środki „ubogie” dające wiele możliwości, chociażby polityka celna zindywidualizowana w stosunku do poszczególnych podmiotów, ustalanie wymogów technicznych i sanitarnych, itd. Umiejętne korzystanie z tych narzędzi może być bardzo pomocne przy realizacji własnych celów politycznych.

Istnieją zatem poważne zagrożenia dla demokracji, i to we wszystkich płaszczyznach wymienionych przez Mirosławę Grabowską. Wszyscy zgadzamy się, że w Polsce system demokratyczny nie ma alternatywy. Nie ma ugrupowań - słabszych czy silniejszych - które w sposób otwarty by ten system kwestionowały. Nie ma ugrupowań głoszących, że system

autorytarny lub zgoła totalitarny jest lepszy od demokratycznego. Ale demokracja w swoim wymiarze proceduralnym, partycypacyjnym czy substancjonalnym może mieć charakter rzeczywisty, bądź całkowicie pozorny. To nie są mechanizmy, które w każdej sytuacji muszą działać w sposób automatyczny. Szczególnie w kraju, w którym nie mamy do czynienia z utrwaleniem poszczególnych procedur. Przykłady? W Polsce niemała część elit nie dostrzega pewnych aspektów rzeczywistości, albo co najmniej udaje, że ich nie dostrzega. Nie wiem, czy jest to rzeczywiście udawanie, czy też brak wiedzy. Są to sprawy związane z grą różnych interesów grupowych, które wartościom demokratycznym wcale nie muszą służyć. Antoni Sulek powiedział tu, że określone interesy są artykułowane w sposób bardzo otwarty. Mogę powiedzieć – w pewnym zakresie tak się dzieje. Jeżeli demonstranci Samoobrony domagali się określonych preferencji dla rolnictwa, to sprawa jest jasna. Istnieje jednak problem artykułowania interesów bardziej skomplikowanych i ich równoważenia. W szczególności dotyczy to problemów gospodarczych. Liberalny program Platformy jest swoistą receptą na naszą rzeczywistość, ale ma bardzo jasno określonych beneficjentów. A z drugiej strony są programy o odmiennym, bardziej interwencjonistycznym charakterze, a w skrajnych przypadkach „romantycznym”, w tym rozumieniu, że nie można ich zrealizować, a gdyby już do tego doszło, to przyniosłyby efekty odwrotne od tych zamierzonych przez autorów, np. program powszechnej prywatyzacji prof. Bieli. Jego realizacja doprowadziłaby do niezwykle łatwej koncentracji kapitału, lub też do zniesienia gospodarki rynkowej!

Przedstawiane są nam dwie alternatywy. Natomiast nie ma, szczególnie w sferze gospodarczej, programów, które zakładałyby, że świat nie składa się z samych biznesmenów, lub też z samych pracowników. Mówiąc inaczej, interesy rolników są bardzo istotne, ale nie mogą wyznaczać polityki państwa jako całości. Nie ma w programach gospodarczych, mówię tutaj przede wszystkim o prawej stronie sceny politycznej, rozwiązań problemów ogólnonarodowych, brak w nich równoważenia interesów różnych grup społecznych. Mam nadzieję, że dzisiaj dyskusja nad tego rodzaju programami wśród ugrupowań umiarkowanej prawicy będzie prostsza.

Dyskusja

Aleksander Smolar: Chciałbym raz jeszcze wrócić do problemów prawicy w Polsce i na Zachodzie. SLD w pewnym sensie poszło śladem wielu formacji zachodnich, próbując dokonać syntezy wątków liberalnych zawartych w programie gospodarczym z tradycyjnym społecznym programem socjaldemokratycznym. Czy jest w stanie go zrealizować w praktyce,

to jest inna sprawa. Ale przedstawiając taki program zagarnęła część centrum sceny politycznej. Ten problem dotyczy nie tylko Polski. Stąd moje pytanie, na ile sukces SLD ma również swoje źródła w naśladowaniu modelu, który sprawdził się gdzie indziej.

Ryszard Kalisz: Chciałbym na wstępie odwołać się do dość odległej przeszłości, bo tam widzę prądy pewnych zachowań po roku 1989. W latach siedemdziesiątych wychodziły w dorosłe życie dwie grupy. Jedna to „rewolucjoniści”, nie godzący się na system realnego socjalizmu, na zastany układ PRL-u. To oni zaangażowali się w opozycję demokratyczną, później aktywnie wspierali powstanie Solidarności i dotrwali do roku 1989. Druga grupa, nazwałbym ich „legalnymi konstruktywistami”, w ramach istniejących wtedy możliwości i układów włączyła się w oficjalne życie intelektualne, ale robiła to z poczuciem przyzwoitości i z autentycznej chęci służenia Polsce. Prawica po 1989 roku w swoim antykomunizmie zdawała się wkładać do jednego worka wszystkich, którzy działali wcześniej w oficjalnych strukturach. A przecież „okrągły stół” był dziełem splotu okoliczności: sytuacji międzynarodowej i dychotomii stosunków społecznych w Polsce. Do porozumienia doszło dzięki temu, że znaleźli się tacy ludzie, po obu stronach, którzy myśleli o Polsce i o jej strukturze politycznej, o możliwości realizacji autentycznych potrzeb społecznych i potrafili przez chwilę znaleźć wspólny język.

Niewiele osób zastanawia się dziś, co się stało w 1989 roku z całą strukturą PZPR? Co się stało ze starszą generacją członków biura politycznego, generacją 60-latków, która w styczniu 1989 roku odgrywała bardzo dużą rolę? Nagle zniknęli. Na lewicy pojawili się trzydziestolatkowie - przypomnę Aleksander Kwaśniewski miał wtedy 33 lata – czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie. Dzisiejsze kierownictwo SLD urodziło się zaraz po wojnie. To byli owi „legalistyczni konstruktywiści”. Ta grupa bardzo szybko została bardzo szybko wrzucona przez atykomunistyczną prawicę do jednego worka wraz ze wszystkim dawnymi przejawami komunizmu, ze stalinizmem na czele. To spowodowało konieczność konsolidacji. Wszystkie struktury mające swe źródła w PRL-u zaczęły się gromadzić wokół SdRP, ponieważ nie miały innej możliwości publicznego istnienia. To spowodowało powstanie Komitetu Koalicyjnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Zwarcie szeregów lewicy wywodzącej się z PZPR i równoczesne spory na prawicy spowodowały wygraną wyborów 1993 roku przez SLD. W latach 1991-97 SLD tworzyły ugrupowania różniące się nie tylko ideowo, ale również metodami i sposobami realizacji interesów politycznych. W koalicji był związek zawodowy, stowarzyszenia, organizacje polityczne, a nawet skrajnie lewicowe partie. A równocześnie pracowano nad stworzeniem w Polsce jasnego systemu politycznego opartego na konstytucji,

w którym partie polityczne zajmowałyby się realizowaniem interesów politycznych, walką wyborczą i ewentualnym sprawowaniem władzy, a związki zawodowe były poza partiami politycznymi i realizowały interes pracobiorców, zaś stowarzyszenia zajmowały się realizacją postulatów społecznych. Dlatego w konstytucji zapisano zasadę, że w wyborach startować mogą partie polityczne, koalicje partii politycznych, bądź wyborcy.

Akcja Wyborcza Solidarność wygrywając wybory w 1997 była zorganizowana na zasadzie pospolitego ruszenia, łącząc sprzeczne interesy związku zawodowego „Solidarność” z interesami rozmaitych partii. Doszły do tego kłopoty z przywództwem w AWS-ie, bowiem Marian Krzaklewski, pragnąc powtórzyć drogę Aleksandra Kwaśniewskiego, nie wszedł do rządu. Wtedy to przeoczono na prawicy najlepszy moment dla utworzenia jednolitej partii politycznej. A SLD zrobiło to w 1999 roku.

Chciałbym jeszcze odnieść się do wypowiedzi pana Lecha Kaczyńskiego. SLD - niezależnie od Pana sądu - jest partią młodą. Jest tam dzisiaj wiele grup: twórcy dawnej SdRP, ale też dawni członkowie PZPR, przez kilka lat nieobecni na scenie politycznej. Są tam osoby, które po roku 1989 roku zajęły się działalnością na własny rachunek, czy pracowały na wyższych uczelniach a dzisiaj chcą włączyć się ponownie w działalność publiczną. Wszystkie te grupy SLD stara się łączyć.

Z dużym zaciekawieniem słuchałem też wypowiedzi Lecha Kaczyńskiego o dalekosiężnych planach politycznych SLD. Siłą rzeczy każda partia polityczna po to wygrywa wybory, żeby władzę sprawować. Po to również władzę sprawuje, aby sprawować ją jak najdłużej. Widzę też wiele zasług polskich elit politycznych, przede wszystkich uchwalenie konstytucji z 1997 roku, która sprawia, że możemy działać w ramach prawa, z jasno określonymi mechanizmami władzy ustawodawczej i wykonawczej, i zabezpieczeniami jakim jest np. Trybunał Konstytucyjny. To one ograniczają władzę SLD i proszę nie twierdzić, że istnieje jakiś podskórny plan zawładnięcia państwem. Plan SLD jest prosty: tak sprawować władzę rządową, aby Polska się rozwijała.

Teresa Liszcz: Chciałabym nawiązać do wspomnianego tu rozróżnienia trzech aspektów demokracji. Nie mam wątpliwości, że jeżeli chodzi o najbardziej powszechne rozumienie demokracji jako funkcjonowania mechanizmów demokratycznych takich jak podejmowanie decyzji wolą większości, wolne wybory itd., to demokracja w Polsce niewątpliwie istnieje. Można kwestionować jedynie pewne regulacje czy procedury. Jeżeli jednak przyjrzymy się pozostałym aspektom, to jest źle. Nieuczestniczenie ponad połowy uprawnionych do głosowania w wyborach parlamentarnych i samorządowych jest sygnałem, że demokracja w

teorii jest akceptowana, ale w praktyce nie chce się w niej uczestniczyć. Ten brak uczestnictwa ściśle się wiąże z brakiem demokracji w rozumieniu substancjonalnym. Demokracja nie jest celem samym w sobie, lecz pewnym instrumentem, sposobem ułożenia życia w państwie. Lepszym od innych, ponieważ z założenia lepiej pozwala realizować cel, którym jest jak pisał prof. Znamierowski, uszczęśliwienie jak największej liczby ludzi. Demokracja jest ustrojem pozwalającym na to, by jak najwięcej ludzi żyjących w państwie demokratycznym czuło się u siebie, czuło się wolnymi i mogło żyć godnie. O tym zapominamy. Konstytucja z 1997 roku mówi, że Rzeczpospolita jest demokratycznym państwem prawa realizującym zasady sprawiedliwości społecznej. Niektórzy uważają, że sprawiedliwość społeczna to pozostałość socjalizmu i bywa wykiwana. Otóż w naszej demokracji istnieje deficyt sprawiedliwości społecznej. Jest to zasadniczy brak. Z jednej strony mamy ludzi bogacących się, niekoniecznie dzięki wielkim talentom czy pracy. Mamy rażącą rozpiętość płac nawet w sektorze publicznym. Tolerujemy to, że lekarz czy pielęgniarka zarabiają 600-800 zł miesięcznie, a ktoś potrafi zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego tzw. „ustawę kominową”, która ogranicza w sektorze publicznym wynagrodzenia do około 14 tysięcy zł miesięcznie. Nie ma samoograniczenia, a bez samoograniczenia nie ma prawdziwej demokracji.

Tu dochodzimy do problemu elit. Nasze „elity” polityczne są byle jakie; powstały w większości nie dzięki intelektowi czy wykształceniu, tylko przez sprawowanie urzędów. I są one solidarne. Jeżeli nawet ktoś straci stanowisko, bo zachował się nieprzyswoicie, to i tak mu koledzy pomogą. Nie ma żadnej odpowiedzialności. Nie żądam, aby zamykać wszystkich za nieudolne czy nieuczciwe rządzenie. Ale należy przynajmniej podać do publicznej wiadomości, chociażby w informacjach NIK, kto zdefraudował, albo niedbale, nieroztropnie pieniędzmi publicznymi szafował. Czy w takiej sytuacji możemy mieć pretensje do ludzi, że nie uczestniczą w wyborach? Żeby chcieć korzystać z wyższych politycznych uprawnień, trzeba mieć minimum: dach nad głową, coś do jedzenia. Czy dwa miliony dziewięćset tysięcy bezrobotnych mogą chcieć korzystać z demokracji, iść do wyborów, nie wierząc, że wybierani rzeczywiście reprezentują ich interesy.

Włodzimierz Pańków: Inaczej niż Antoni Sułek swoje rozważania rozpocznę od sfery instytucjonalnej ważnej dla problemu legitymizacji demokracji. W Polsce włożono ogromny wysiłek w restrukturyzację całego systemu, w przekształcenie i wybudowanie tysięcy instytucji. I nikt do tej pory nie zwracał uwagi na pewien wskaźnik. Co pewien czas CBOS pyta Polaków, czy są w kraju instytucje, które reprezentują interesy takich ludzi, jak pan? 58% ludzi mówiło dwa lata temu, że nie widzi takich instytucji. W lipcu bieżącego roku ta cyfra

wzrosła do 62%. Jediną instytucją, która zyskała w tym czasie jest Prezydent, pozostałe straciły. Związki zawodowe z 16% zaufania doszły do 10%! Czyli włożono ogromny wysiłek w budowanie nowego systemu instytucjonalnego, który nie funkcjonuje. W połowie lat 90-tych zespół prof. Władysława Adamskiego stwierdził, że polskie społeczeństwo dzieli się na establishment i resztę. W tym czasie prof. Juliusz Gardawski sformułował tezę o „pustce instytucjonalnej” i syndromie „porzuconego Polaka”. Mimo ogromnego wysiłku w tworzeniu instytucji ów syndrom wciąż istnieje i chyba się nasila. Obywatel nie ma do kogo zwrócić się ze swoimi interesami. Oczywiście, można wychodzić na ulice, strajkować, protestować, pisać petycje, ale na ogół nie przynosi to pożądanych efektów. Funkcjonują pewne mechanizmy, które po pierwsze blokują kanały artykulacji interesów, a po drugie naruszają generalne poczucie sprawiedliwości. Siedmiu na ośmiu pracowników pytanych, czy mają się do kogo udać w swoich sprawach, odpowiada, że tylko do szefa bezpośredniego lub pośredniego. To jest syndrom „zniewolonego pracownika”, który żyje w warunkach paternalistycznych. Taki jest rezultat ogromnej rewolucji instytucjonalnej, którą robiliśmy z nadzieją na poprawienie poziomu wolności, realizacji wartości sprawiedliwości społecznej czy tzw. podmiotowości społecznej. Zgadzam się, że Polacy cenią demokrację. Pojawia się tylko pytanie, czy cenią demokrację, w której dzisiaj żyją? Skonstruowaliśmy demokrację dla jakichś 25, może 30 procent obywateli.

Kolejna sprawa to podejmowanie decyzji. Antoni Sułek mówił o problemach łączenia interesów długofalowych z krótkofalowymi. Sądzę jednak, że najważniejszą sprawą jest kwestia woluntaryzmu. Grupy, które doszły do władzy w roku 1989 - z nimi się zresztą utożsamiam - to rewolucjoniści. Czyli, w swoim przekonaniu, nie muszą się liczyć z masami, z opinią publiczną, sondażami. Oni realizują pewien projekt woluntarystycznie, arbitralnie, co doskonale pokazało wprowadzenie ostatnich czterech reform. Waldemar Kuczyński - doradca premiera Buzka - powiedział mi kiedyś, że to zaleta tego rządu. W pewnym sensie miał rację. Zrealizowali reformy, tylko potem zostali zmiecieni ze sceny politycznej.

I trzecia kwestia: legitymacji. Ludzie w pewnym stopniu akceptują demokrację w Polsce, ale mam wrażenie, że to właśnie III Rzeczpospolita ma ogromny problem z własnym poczuciem prawomocności. Stosunek do Samoobrony, bezradność wobec niej, wynika z poczucia, że stworzony przez nas nowy porządek sam „nie jest w porządku”. Ten porządek jest trochę anty-Janosikowy: tzn. musiano dokonać redystrybucji ogromnego majątku, oddać go w prywatne ręce. Wraz z tym procesem narastało poczucie niesprawiedliwości. Przesuwa się akcent z dóbr zbiorowych, kolektywnych na indywidualne. W związku z tym np. nie ma się odwagi pacyfikowania Samoobrony. Legitymacja demokratyczna niby jest mocna a jednocześnie jest

bardzo słaba. Dlaczego zatem Polacy wciąż chodzą do urn wyborczych, skoro większość z nich uważa, że nie ma instytucji reprezentujących ich interesy?

Pytano tutaj, czy mamy do czynienia z trudnością zakorzenienia się polityki jako sfery autonomicznej wobec bezpośrednich interesów społecznych. Od czego zaczynała się amerykańska rewolucja? Powiedziano: nie będziemy płacić podatków, jeżeli nie będzie reprezentacji naszych interesów. A Polacy płacą podatki! Sam nie wiem, dlaczego? Już dawno powinni powiedzieć - nie. Nie mamy reprezentacji, nie płacimy podatków. Przynajmniej te 62% Polaków powinno tak powiedzieć. Ciekawe, że wśród pracujących „na własny rachunek” aż 78 % stanowią ci, którzy w dzisiejszej Polsce nie widzą instytucji reprezentujących interesy tzw. prostych ludzi.

Jakub Boratyński: Zasadnicza część dzisiejszej dyskusji poświęcona była kwestii dekompozycji sceny politycznej po wyborach. Jednak bardziej niepokojąca jest frekwencja wyborcza, która jest jednym z przykładów niskiego stopnia zaangażowania Polaków w życie publiczne. Kryzys uczestnictwa w demokracji, wydaje mi się ważniejszym faktem niż dekompozycja, czy nawet zrujnowanie naszej sceny politycznej. Dane dotyczące frekwencji wyborczej w Polsce są bardzo niepokojące gdy porówna się je z innymi krajami regionu: Czechami czy Węgrami, które również przechodzą postkomunistyczną transformację. Frekwencja wyborcza w krajach zachodnich mówi również wiele o deficycie demokracji. Nie ma tam jednak tak głębokiego spadku zainteresowania obywateli życiem publicznym. A był to nasz problem poczynając od roku 1989. Wtedy to urn poszło tylko 62% obywateli. Jest to gorzkie, jeżeli w ostatnich pseudowyborach PRL-owskich w 1985 roku, przy wezwaniu Solidarności do bojkotu, według niezależnych ocen brało udział ponad 2/3 społeczeństwa. To powoduje konieczność postawienia fundamentalnego pytania: co klasa polityczna zamierza zrobić z tym spadkiem zainteresowania życiem obywatelskim. Ale ta kwestia niestety nie budzi większego zainteresowania polskich polityków.

Tadeusz Mazowiecki: Słuchając tej dyskusji miałem poczucie déjà vu. W ostatnich latach znajdowaliśmy się już w podobnych sytuacjach, stawiano wtedy podobne pytania i udzielano podobnych odpowiedzi. Socjolog w takiej dyskusji zazwyczaj będzie mówił, o winie elit politycznych, o ich kameleonizmie politycznym i ich nadmiernej wierności swoim ideom czy wyobrażeniom. Polityk zaś będzie przekonywał, że skoro jesteśmy słabi, to łatwiej będzie się teraz dogadać. A gdy się poprawi, to łatwiej będzie się skłócić. Podobnych legend było tu

więcej. Ryszard Kalisz mówił chociażby o dorabianej legendzie swojej generacji, owym „legalizmie konstruktywnym”. Mam poczucie, że powstała on trochę ex post.

Ale co innego mnie niepokoi: sytuacja i zachowania powyborcze. Niepokoi mnie niezauważenia jakościowego obniżenie standardów demokratycznych Polski. Tego, co się wymaga, co się akceptuje. Niezauważenie, że odrzuceniu dotychczasowej klasy politycznej towarzyszy zwiększenia wpływów partii radykalnych, z których jedna mówi dwuznacznym językiem w sprawie demokracji, a druga nie dwuznacznym językiem o tolerancji, elementarnym szacunku do przekonań innych ludzi. Czytam wyznania polityka, który mówi, że chce być dyktatorem pozytywnym, to znaczy takim, który nie zabija. Być może są to żarty w wywiadach prasowych, ale dosyć tych żartów! Ale przede wszystkim pytam, jaka jest demokratyczna legitymizacja partii, która wchodzi w koalicję parlamentarną, nawet nieformalną, z ugrupowaniem głoszącym tego typu poglądy. Czy to jest wzmocnienie legitymizacji demokratycznej SLD? Czy SLD zadaje sobie takie pytanie? Ta sytuacja, moim zdaniem, jest bardziej niebezpieczna niż wnioski, które tu państwo wyciągają.

Lech Kaczyński: Powtórzę raz jeszcze, moim zdaniem Sojusz Lewicy Demokratycznej stanowi dziś dla demokracji rozumianej jako pewien zespół procedur istotne zagrożenie. Ta sytuacja wzmacnia chęć do reakcji, do przeciwdziałań, a to pozwala przełamywać pewne różnice programowe.

Tadeusz Mazowiecki ma rację wskazując na swoistą rolę nauk społecznych, a zwłaszcza ich przedstawicieli. Oni pełnią rolę pewnej kontr elity do polityków. Nadmierna skłonność do syntetyzowania jest niebezpieczna dla naszych interesów jako społeczeństwa. Nie uproszczona synteza, lecz analiza jest nam istotnie potrzebna. Potrzeba też nieporównanie więcej dyskusji i prób głębszego zrozumienia.

Jerzy Diatłowski: *wypowiedź nieautoryzowana*

Wypowiedź Aleksandra Halla potwierdza, że początek wielu późniejszych niepokojących zjawisk tkwi w niezrozumiałej dla mnie do dziś decyzji wystawienia Tadeusza Mazowieckiego jako kontrkandydata dla Wałęsy. Wydarzenie to było skutkiem kompletnego braku realnego postrzegania rzeczywistości. Po pierwszej turze wyborów zapytałem Aleksandra Halla jak wytłumaczyć klęskę wyborczą? I padła odpowiedź: to społeczeństwo zawiodło. Poczucie, że społeczeństwo nie rozumie naszych słuszných intencji towarzyszy polskiej polityce ostatniego dwunastolecia. Jak można było zakładać, że PZPR się rozpadło się, zginęło i nigdy się nie odrodzi? Adam Schaff na początku lat 80-tych [?] opublikował w „Tu i teraz” artykuł

wzbudzający wówczas moje oburzenie. Autor przeciwstawił w nim dziesięciu milionom zwolenników „Solidarności” dziesięć milionów zwolenników *ancienne regime*’u i trafnie opisał dzisiejszy elektorat SLD.

Ludzie, bez względu na to, czy znają się, czy też nie znają się na polityce, mają jakieś poczucie moralne. Życie polityczne dotyka tego aspektu i politycy muszą się z tym liczyć. Przez ostatnie lata wszystkie rządy, niezależnie od ich orientacji lewicowej czy prawicowej, kompletnie się z tym nie liczyły. Dzisiaj, kiedy okazuje się, że są zabici, ale nie wiadomo kto strzelał, nie ma więc winnych, że ktoś oskarżał albo i nie, że ukradł, ale właściwie to nie ukradł, to wszystko prowadzi do destrukcji życia politycznego i niechęci do uczestnictwa w nim, czyli uderza w podstawy demokracji.

Tomasz Żukowski: Mam poczucie, że nasza dyskusja, wbrew intencjom organizatorów, jest zbyt skierowana w przeszłość. A tematem rozmowy miał być stan dzisiejszy i przyszłość naszej demokracji. Może warto powiedzieć parę zdań również na ten temat. Polska stoi dzisiaj bowiem przed bardzo poważnymi wyzwaniami, a więc i szansami, i zagrożeniami.

Podczas dyskusji wiele mówiono o kłopotach z frekwencją wyborczą. Ja nie zamartwiałbym się poziomem frekwencji, ponieważ jest on zbliżony do notowanego w poprzednich wyborach. Bardziej można martwić się tym, że najniższa frekwencja była wśród ludzi najmłodszych, dwudziesto- i trzydziestolatków. Do wyborów poszło tylko 40 procent pośród nich oraz około 55-60 proc. pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków. Czyżby ludzie z doświadczeniem „wychowania obywatelskiego” PRL połączonym z unikalnym, pozaplanowym egzaminem z „Solidarności” różnili się „na plus” od swych dzieci wychowanych w czasach budowy kapitalizmu i prodemokratycznej edukacji obywatelskiej? Drugim problemem jest „spotkanie się” demokracji z kolejnym stadium kultury masowej opartej na mechanizmach rynkowych i konkurencji komercyjnych telewizji, czego symbolem jest program „Wielki Brat”. Znakiem czasów jest fakt, że jeden z mniej popularnych bohaterów tego programu stał się całkiem popularnym politykiem i wszedł do parlamentu. A w pierwszej swej wypowiedzi jako poseł oświadczył, że zrobi wszystko, by trafić do Sejmu następnej kadencji, zaś jego nowym Wielkim Bratem jest Leszek Miller. Oznacza to, że towary kultury masowej i postacie polityki masowej zaczęły się mieszać przechodząc „z półki na półkę”. Problemy wynikające z zetknięcia się masowej demokracji z masową kulturą komercyjną dotyczą nie tylko naszego kraju. Pojawiają się też w bogatych Włoszech i w biednych państwach Trzeciego Świata, gdzie postacie ze świata masowej rozrywki, czy mediów, stają się popularnymi politykami.

I - na koniec - sprawa najpoważniejsza. Cała Europa Środkowo-Wschodnia znajduje się w podwójnej opresji transformacyjnej, o czym tutaj niestety nikt nie wspomniał.. Nazwę tę opresję „wyzwaniem dwóch wielkich rzek”. To właśnie stąd przede wszystkim wynikają społeczne stresy i problemy polskiej demokracji. Ostatnią dekadę zajęci byliśmy przechodzeniem od komunizmu do kapitalizmu, od jednej do drugiej, lepszej, wersji cywilizacji industrialnej. I ta przeprawa udała się nam nad podziw dobrze. Dzięki potężnemu kapitałowi Solidarności, sprawnie, choć w mozole, sforsowaliśmy - jako regionalni prymusi - tę rzekę, nazwijmy ją „rzeką czerwoną”. Społeczeństwo zaczęło rozbijać namioty na wydawałoby się bezpiecznym, upragnionym brzegu przyjaznego państwa dobrobytu. I nagle okazało się, że grunt na tej ziemi nie jest wcale stabilny, że przed nami kolejna rwąca rzeka - „niebieska” rzeka globalizacji. Stąd szok społeczeństwa. Myśmy po prostu - zajęci forsowaniem pierwszej rzeki - nie do końca widzieli trudy drugiej przeprawy.

Dopiero teraz nasza opinia publiczna zaczyna dostrzegać, że przed nami nowe, trudne zmiany, że zmienia się również demokracja. Na marginesie dodam, że - jak dotąd - lewica wydaje się lepiej przygotowana do tych przemian niż prawica, stąd jej sukcesy w zachodniej Europie. Co więcej, nasza próba przejścia przez „rzekę niebieską” przypadła na okres kryzysu globalizacji. To musi zwiększać napięcia, skłaniać wielu Polaków do gorączkowego poszukiwania innych dróg, albo spoglądania z sentymentem w idealizowaną przeszłość. Jak się wydaje, przewodnicy przeprawy - klasa polityczna - nie są również przygotowani do tej, nowej sytuacji. A przecież wyzwaniom cywilizacyjnym Polski odpowiadają wielkie zadania stojące przed polską demokracją. Trzeba koniecznie znaleźć odpowiedź na pytanie, jaki system instytucji jest im w stanie sprostać. Czy obecny - wyłoniony po wyborach - system partyjny, obowiązująca ordynacja wyborcza, system mediów, a także związana z nimi formuła debaty publicznej, sprzyjają dalszej wędrówce Polski ku przyszłości, czy też nie.

Tę dyskusję zapoczątkowały niedawne spory o finansowanie partii politycznych i o ordynację wyborczą. Ale to dopiero początek debaty. Ona nas dopiero czeka. Czy w sytuacji nowych, trudnych wyzwań wśród głównych, strategicznych graczy polskiej polityki nie pojawi się pokusa sięgnięcia do innego modelu demokracji: ze znacznie silniejszą egzekutywą, z bardziej bezpośrednim wpływem biznesu na ludzi polityki? Ten model wielu spośród nas kojarzy się z elastycznym, szybko reagującym systemem amerykańskim. Nie wykluczyłbym jednak, że w naszym wykonaniu ów nowy model może okazać się podobny do rozwiązań politycznych stosowanych w latach dziewięćdziesiątych za naszą wschodnią granicą (choćby na Ukrainie), gdzie zapewniały - w okresie ekonomicznej recesji - stabilność władzy kosztem mniejszej

wrażliwości na nowe bodźce, społeczne nastroje i oczekiwania. Takie rozwiązanie polskich dylematów jest także możliwe...

Stanisława Grabska: Chciałam zwrócić uwagę na to, że demokracja to nie tylko sejm, parlamentaryzm. Demokracja to w dużej mierze samorząd. I nadzieję na utrzymanie naszej demokracji widzę w samorządzie. Na wsiach, w małych miasteczkach dzieje się dużo dobrego. Powstały grupy nowych miejscowych liderów. Bardzo ważne będzie, czy polityka sejmu będzie wspierać dalsze działanie samorządów lokalnych. Nie można nie wspomnieć o samorządności gospodarczej. I tutaj pojawia się sprawa struktury. Sam liberalizm stawia na jednostki kierujące prywatnymi przedsiębiorstwami, a przecież istnieje kwestia grup producenckich, udziału robotników w kierowaniu przedsiębiorstwami. Robotnicy nie po to strajkowali, walczyli z komuną, żeby mieć prywatnego właściciela, który nie będzie szanował ich praw. Oni chcieli mieć udział w decydowaniu o swoich przedsiębiorstwach. To jest właśnie ważne dla naszej przyszłości.

Jacek Zychowicz: Zamiast rozmawiać o zagrożeniach dla demokracji zajęliśmy się przede wszystkim analizą dotychczasowych elit politycznych, które przecież w ostatnich wyborach zostały poddane przez wyborców drastycznemu wotum nieufności. I nawet, mimo swoich intencji i chęci nie będą mogły odgrywać znaczącej roli na scenie publicznej. Charakterystyczne są tu wypowiedzi Aleksandra Halla i Ryszarda Kalisza, które przede wszystkim dotyczyły dziejów ich formacji politycznych i towarzyskich.

W wielu wypowiedziach podkreślano, że sukcesy i niepowodzenia polskiej prawicy, bądź lewicy mają nikły związek z analogicznymi osiągnięciami tych ugrupowań w zachodniej Europie. Prawdą trudniej uchwytą jest to, że polska demokracja podlega analogicznym procesom wyobcowania jak demokracje na Zachodzie, czasami przybierając postać jeszcze bardziej wypaczoną, gdyż brak u nas tradycji demokracji zakorzenionej w społeczeństwie. Być może grzechem pierworodnym polskiej demokracji był fakt, że przejmowaniu władzy przez polityków wywodzących się z obozu Solidarności towarzyszył demontaż Solidarności jako ruchu społecznego, rozwiązanie komitetów obywatelskich, redukcja związku Solidarność do wymiaru niemal mikroskopijnego liczebnie.

Gdyby wymienić główne wypaczenia czy dewiacje demokracji, to w Polsce wydarzają się one w sposób szczególnie karykaturalny. Po pierwsze należałoby tu wspomnieć o redukcji demokracji do elit politycznych. Kolejnym przejawem jest drastyczne zawężenie spektrum wyborów dostępnych uczestnikom procesu demokratycznego, np. przed wyborami Marek

Belka ogłasza politykę, która w zamiarze ma być kontynuacją polityki jego poprzedników Balcerowicza lub Bauca.

Dzisiaj nie należy głosić, że wyzwania dla demokracji przychodzą z zewnątrz, iż są rzucane przez radykalne ugrupowania. Niepokojącym syndromem jest natomiast przeniknięcie dyskursu demokratycznego przez idee oraz emocje z gruntu antydemokratyczne, co jest przyjmowane z coraz słabszym sprzeciwem. Przykładem mogłoby tu być przyjęcie haseł przeciwko emigrantom i azylantom przez partie demokratyczne Niemiec czy Wielkiej Brytanii, które w ten sposób zmarginalizowały ugrupowania radykalnej prawicy. Ale może zbyt wielkim kosztem. Podobnie jak pojawienie się w dyskursie demokratycznym w Polsce idei, że kara nie ma służyć resocjalizacji, lecz ma odstraszać innych przestępców, co oznacza redukcję człowieka wyłącznie do statusu środka, a nie celu. To zaprzeczenie samego fundamentu demokracji. Co interesujące, czynią to politycy, którzy są traktowani jako pełnoprawni uczestnicy spektrum demokratycznego. Ich wypowiedzi u niewielu budzą sprzeciw. A jednocześnie tolerancji dla tego typu zabiegów pojęciowych towarzyszy usuwanie języka, który odwołuje się do realnych podziałów i nierówności społecznych. I niejako automatycznie traktuje się jako zagrożenie Samoobronę, której zresztą nie jestem skłonny idealizować. Ugrupowanie to bynajmniej nie przyczynia się do dekompozycji państwa. A jednocześnie Samoobrona staje się obiektem zabiegów wykluczających. Zdecydowanie nie zgodziłbym się z Aleksandrem Hallem, że została dopuszczona na salony przez ludzi mediów. Jest inaczej. Gdyby Andrzej Lepper wystąpił z poglądami ekonomiczno-społecznymi na miarę rooseveltowskiego New Deal'u, to dziennikarze głównego nurtu, a zwłaszcza mediów audiowizualnych mówiliby wyłącznie o tym, że krawat Leppera jest niedopasowany do jego koszuli, więc należy go wyszydzić przy pomocy najbardziej prymitywnych konceptów. Wykazywana przez reporterów czy pismaków pogarda dla swoich współobywateli może być bardziej poważnym zagrożeniem dla demokracji niż demonizowani radykałowie, którzy mając możliwość działania w parlamencie bynajmniej nie okazują się groźnymi i niebezpiecznymi ekstremistami.

Zygmunt Berdychowski: Nieodparcie nasuwa się wrażenie, że dyskusja o polskiej demokracji pojawia się wraz z wyborami przegranymi przez umiarkowaną prawicę. Spory z 1993 roku do złudzenia przypominają dzisiejszą dyskusję. Przypominają się te same twarze, obrazy, słowa. Zdaje się, że znaleźliśmy się w podobnej sytuacji, ponieważ zmagając się z pozostałościami realnego socjalizmu i państwa opiekuńczego, nie potrafiliśmy wykreować postaw, programów, które stanowiłyby odpowiedź na wezwania przed którymi stanęliśmy. Słusznie podkreślono, że

jedynym, co w ostatnich latach miały do zaproponowania elity prawicowe, to antykomunizm jako zasadnicze spoiwo tego obozu. Co więcej, podjęta przez Platformę Obywatelską próba tworzenia nowoczesnej prawicy spełza również na niczym.

Słusznie stwierdzono, że stan polskiej demokracji i stan Polski to różne sprawy. O ile stan Polski można w dniu dzisiejszym rysować w ciemniejszych barwach: szeroka sfera ubóstwa, coraz większe rozwarstwienie społeczne, katastrofa finansów publicznych, to trudno zgodzić się z tak krytycznym opisem stanu polskiej demokracji. Przecież na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat odbyła się tu prawdziwa rewolucja. Budując społeczeństwo obywatelskie, tworząc organizacje pozarządowe, odnieśliśmy wspólnie duży sukces i to, jak sądzę, jest zasadniczym wyznacznikiem stanu naszej demokracji.

Zgadzam się i z tymi, którzy mówili tutaj, że polskiej demokracji nie zagraża żaden obóz głoszący otwarcie hasła autorytarne, bo choćby nie wiem jak złe intencje przypisywać Lepperowi, to nie przedstawił on żadnego programu, który głosiłby hasła dyktatorskie. Pamiętać też należy o wysokiej akceptacji społecznej dla demokracji, co dodatkowo wzmacnia polską demokrację. Natomiast to, że dziś tu dyskutujemy, wynika przede wszystkim ze stanu elit. Wynika również z instrumentalnego traktowania instytucji demokratycznych przez media, w tym zwłaszcza przez media „publiczne”.

Niezbędna jest zatem obrona tego, co udało się osiągnąć w budowie społeczeństwa obywatelskiego, rozwijać samorząd, decentralizować państwo, finanse publiczne i doprowadzić do faktycznej, a nie tylko formalnej pluralizacji mediów.

Krzysztof Kozłowski: Mówiono o wielu złych sprawach. A ja postawię pytanie: co jest w tym wszystkim najgorsze? Wybory były demokratyczne. Są odbiciem stanu polskiej świadomości. Ale ta nasza świadomość jest utkana z lęków, obaw przed dniem jutrzejszym, przed tym, że nie sprostam, że nie dam rady. Nawet ci, którym się dobrze powodzi są przerażeni, że jutro wszystko może się zawalić. Wygrały formacje, które próbują te lęki osłabić. Nie tylko "Samoobrona". I tak SLD, słusznie czy niesłusznie, ma opinię partii, która zapewni ochronę, elementarny spokój, państwo opiekujące się obywatelem. Lech Kaczyński chciał nas uratować przed lękiem wobec rosnącej przestępczości. Zaostrzenie kar spotkało się z akceptacją, bo osłabia ten lęk. PSL chce, aby każde gospodarstwo rolne, nawet najmniejsze, najbardziej prymitywne, było opłacalne. Stąd bariery celne, importowe. Rolnik ma się nie bać. Liga chce nas ochronić przed Żydami, masonami, Europejczykami, Niemcami, którzy nas wykupią. Lękamy się bardzo wielu zagrożeń. W tym wszystkim jest samoobrona, przez małe „s”.

Wszystkie te ugrupowania są na bazie samoobrony tworzone. Nawet Platforma, która miała nas uchronić przed partiami politycznymi, bo one także są dla nas zagrożeniem.

Dlatego najważniejsze jest utworzenie partii, która by nas oswoiła z przyszłością, pozwoliła nie bać się jutra. Program takiej partii nie byłby popularny, ale bez niej będzie trudno. Nie boję się Samoobrony w Sejmie. Bać należy się tylko tych, którzy za pół roku powiedzą: Lepper po naszych plecach dostał się do parlamentu. Boję się Samoobrony- bis, która pójdzie tym samym śladem, łamiąc prawo, bo prowadzi to do zwycięstwa i sukcesu. Taka droga jest niebezpieczna, nie sam Lepper.

Mirosława Grabowska: Nie mówiliśmy tutaj o wielu globalnych problemach demokracji i z demokracją, a one w pewnej mierze nas dotyczą. Powtarzamy wzór obserwowany w starszych, bardziej ustabilizowanych demokracjach, który można wyrazić hasłowo: demokracja - tak, polityka - nie. Tylko że u nas wzór ten realizuje się na niepokojąco niskim poziomie. Na Zachodzie *panaceum* na niedomogi demokracji ma być ... więcej demokracji. Dyskutuje się o rozszerzeniu i zakorzenieniu demokracji w miejscu zamieszkania, o wprowadzeniu demokracji do miejsca pracy, o możliwościach teledemokracji. Nam wydaje się to odległą przyszłością, ale warto o tych problemach mówić już teraz, nie czekając, aż pojawią się w Polsce.

Jeśli chodzi o polską scenę polityczną, to problemy są po obu jej stronach. Jednym z problemów lewicy jest jej skrajny pragmatyzm. Nawet panu posłowi Ryszardowi Kaliszowi wypsnęło się tutaj, że SLD - jak każda partia - sprawuje władzę, aby ją sprawować jak najdłużej. Drugim problemem są „trupcy w szafie”. Nikt już na nie czyha, nie jest to szczególna atrakcja, ale one od czasu do czasu wypadają. Problemem prawicy zaś jest to, że w sensie instytucjonalnym ona prawie nie istnieje. Nie podzielam opinii niektórych dyskutantów, że kondycja partii i elit politycznych - wciąż zmieniających partyjne barwy - nie ma większego znaczenia. Nie przekonały mnie też argumenty, że lewica ma szczęście, bo nie ma frakcji i skrzydeł, a w obrębie centroprawicy istnieją nieprzezwyciężalne różnice ideologiczne. Lewica nie jest z natury wolna od tych przypadłości - ona po prostu potrafiła zniszczyć lub zmarginalizować, oswoić lub wchłonąć zagrażające jej spójności radykalne ugrupowania, grupki, nawet poszczególnych polityków. Dlatego lewica może przesuwac się ku centrum, walczyć o szeroki elektorat. Prawica nie potrafiła tego dokonać - rozsadzają ją wewnętrzne podziały, rozrywają radykalne skrzydła, a jej polityka jest skrajnie spersonalizowana. Cóż jednak zostawił po sobie Lech Wałęsa? Co zostawił Marian Krzaklewski? Politycy, nawet najwybitniejsi, przemijają, zostają instytucje, ale do nich ani Wałęsa, ani Krzaklewski nie mieli serca ani głowy. Wprawdzie po stronie centroprawicy zaistniała partia polityczna, która

zasługuje na to miano, a mianowicie Unia Wolności, ale nie weszła ona do Sejmu. Pan Lech Kaczyński wyraził nadzieję, że ponieważ na prawicy jest tak bardzo źle, to uda się jej teraz zjednoczyć. Chciałabym podzielać tę nadzieję. Ale spodziewałabym się raczej jakiejś powtórki z AWS, równie nietrwałej: coś się zbierze, coś się rozsypie... Nawoływano, aby patrzeć w przyszłość, więc patrzę i widzę, że po lewej stronie jest różowo, a po prawej czarno.

Aleksander Hall: Jeżeli popatrzymy na mechanizmy formalne, akceptację procedur demokratycznych, to porządek demokratyczny funkcjonuje. Nie jest on jednak głęboko zakorzeniony w tradycji, odruchach obywatelskich, w woli świadomego uczestnictwa i pewnych standardach zachowań, których się oczekuje także od polityków. Odniosłem wrażenie - również w tej dyskusji - że wielu jest przekonanych, iż w demokracji vox populi oznacza zawsze vox Dei. Rację mają wyłącznie zdobywcy 50 albo 10 procent głosów wyborców, zaś ci, którzy otrzymali 3 procent, na swą klęskę zasłużyli. Ale może zdarzyć się, że nie będzie potrzeba Samoobrony-bis, bowiem ta już istniejąca poprzez pewien sposób zachowań - niezgodny z demokratycznym porządkiem - będzie zagrożeniem dla demokracji. Uznaję 10 procent głosów zdobytych przez Samoobronę i 7 procent Ligi Rodzin Polskich, ale nie akceptuję. Nie powinniśmy akceptować tego typu zachowań i tego typu obecności w życiu publicznym.

Aleksander Smolar: Padły tu różne odpowiedzi na pytanie o źródła wielu problemów z polską demokracją. Można pocieszać się stwierdzeniem, że demokracja jest systemem, który zawsze istnieje i rozwija się poprzez kryzysy. Napisano dziesiątki książek na temat demokracji ze słowem „kryzys” w tytule. W sławnej w latach siedemdziesiątych książce Komisji Trójstronnej - „Three Crisis of Democracy” - w ciemnych barwach kreślono przyszłość Zachodu. To może być źródłem optymizmu, bowiem, jak widzimy, z demokracją nie jest najgorzej.

W naszej dyskusji był słabo obecny wymiar zewnętrzny. Na Zachodzie wiele mówi się o kryzysie państwa narodowego i związanym z tym kryzysem demokracji. Dostrzeżono, że wyjęcie spod kompetencji państwa narodowego pewnych istotnych decyzji na rzecz rynku czy organizacji ponadnarodowych powoduje nieuchronnie problemy z demokracją. Czy jednym ze źródeł naszych problemów - chociażby dominacja polityki tożsamości na polskiej prawicy - nie jest to, że my zmierzamy do Unii Europejskiej, gdzie warunki są narzucone dość rygorystycznie. Innymi słowy, pole wewnętrznych wyborów politycznych jest dość ograniczone. To jest jednym ze źródeł napięć, frustracji polityków i również pewnego rozejścia się klasy politycznej z wyborcami. Nasza klasa polityczna realizuje i będzie realizowała to, co

jest konieczne, by znaleźć się Unii. Dotyczy to także SLD. Ta sytuacja niesie ze sobą istotne konsekwencje, jeżeli chodzi o funkcjonowanie demokracji, która opiera się na zasadzie pełnej suwerenności obywateli. Jest to jeden z problemów, którymi powinniśmy się w przyszłości zajmować.

opracowanie: Grażyna Czubek, Piotr Kosiewski

Zapis dyskusji zorganizowanej w dniu 14 listopada br. w Warszawie przez Fundację im Stefana Batorego i redakcję „Tygodnika Powszechnego”. Pełny tekst jest dostępny na stronie www.batory.org.pl/forum.